BODE MILLER

& Jack McEnany

AUTOBIOGRAFIA WARIATA

BODE MILLER
MIĘDZY TURYNEM A SOCZI

JAKUB CIASTOŃ

BEZPŁATNY DODATEK DO KSIĄŻKI
BODE MILLER. AUTOBIOGRAFIA WARIATA!

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Jakub Ciastoń

Bode Miller – między Turynem a Soczi

Bezpłatny dodatek do książki
Bode Miller. Autobiografia wariata!

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Autobiografia Bodego Millera, opisująca dzieciństwo, młodość i sporą część kariery jednego z najlepszych alpejczyków świata, została wydana w USA w październiku 2005 roku. Co działo się z Bodem Millerem później?

W 2005 roku Miller był narciarskim królem. Zdobył Kryształową Kulę za tryumf w końcowej klasyfikacji Pucharu Świata jako pierwszy Amerykanin od czasów Phila Mahrego (1983). Dokonał tego zresztą w nie byle jaki sposób. Potrafił na przykład wygrać w każdej z pięciu alpejskich konkurencji – slalomie, gigancie, supergigancie, zjeździe i kombinacji – co udało się wcześniej tylko czterem innym narciarskim legendom: Marcowi Girardellemu, Pirminowi Zurbriggenowi, Kjetilowi Andremu Aamodtowi i Guen-

therowi Maderowi. Kiedyś o taki rozrzut w dyscyplinach było łatwiej, bo w narciarstwie panowała mniejsza specjalizacja. W XXI wieku doszło do tego, że dobry zjazdowiec musiał być wielkim i silnym gladiatorem, a slalomowiec – raczej drobnym i zwinnym technikiem. Miller to w narciarstwie ostatni mężczyzna, który umiał te skrajności połączyć.

„Dominator", „człowiek ze sprężynami w nogach", „wojownik stoków" – pisały gazety w Europie i USA, gdy Amerykanin w swoim pełnym ryzyka stylu pokonywał w Pucharze Świata najgroźniejszych rywali, przede wszystkim Austriaków Hermanna Maiera i Benjamina Raicha. Ukoronowaniem fantastycznego sezonu były dwa złote medale mistrzostw świata zdobyte w marcu w Bormio w zjeździe i supergigancie.

Ale Miller w momencie publikacji autobiografii był też królem poza stokiem. Media go uwielbiały, bo zawsze „wykręcił" coś ciekawego. Raz zjechał na jednej narcie przy prędkości osiemdziesięciu trzech kilometrów na godzinę i prawie dojechał do mety, kiedy indziej zgubił złoty medal we włoskiej knajpce, świętując nieco nazbyt hucznie udane mistrzostwa świata.

Do igrzysk w Turynie pozostawało pół roku. Wszyscy oczekiwali od Millera złotych żniw na olimpiadzie, a trzeba pamiętać, że igrzyska to

w Ameryce jedyny moment, gdy sportowcy z niszowych dyscyplin mogą zostać szerzej zauważeni. W USA na co dzień liczy się futbol, koszykówka, bejsbol i hokej, narty przegrywają w telewizji z deskorolką i jedzeniem hot dogów na czas. No, chyba że chodzi o igrzyska, wtedy nawet w Kentucky oglądają narciarstwo alpejskie.

2006. Turyn znaczy klęska

Miller nie byłby jednak sobą, gdyby po takim natężeniu zjawisk pozytywnych nie zanurkował ze swoim życiem i karierą w otchłań chaosu, robiąc na złość wszystkim tym, którzy oczekiwali od niego nieustających sukcesów. Rok 2006 był w jego wykonaniu katastrofą, a na igrzyskach poniósł klęskę, choć media wieściły, że może celować nawet w pięć złotych medali.

Piąte miejsce w zjeździe – to był szczyt możliwości Millera w Turynie. W supergigancie był szósty, a w slalomie, gigancie i kombinacji w ogóle nie dojechał do mety. Szczególnie bolesna była porażka w kombinacji – Miller prowadził po zjeździe, ale w slalomie nie trafił w bramkę i został zdyskwalifikowany, złoto zdobył jego mało wówczas znany rodak, dwudziestojednoletni Ted Ligety, dziś lider amerykańskiej kadry, najlepszy gigancista świata.

Klęskę na stoku Miller okrasił demonstracyjną pogardą dla olimpijskich idei. „Medale? Nie są mi do niczego potrzebne, ale wszyscy wokół starają się mi wmówić, że trzeba je zdobyć. To nieporozumienie, w każdej chwili mogę rzucić narty i zająć się czymś innym”, wypalił w rozmowie z „La Gazzetta dello Sport”.

Jakby na potwierdzenie tych słów trafił na czołówki brukowców po wizycie w nocnym klubie w Sestriere podczas igrzysk. W jednej ręce ściskał butelkę piwa, w drugiej Tinę Jordan, miss marca 2002 roku

magazynu „Playboy”, a na koniec „pozdrowił” fotografa Reutersa wyprostowanym środkowym palcem.

Miller mówił w wywiadach, że czuje się wypalony, że czeka, aż w głowie zaświta mu jakiś nowy cel, ale na pewno nie są nim medale na olimpiadzie. Sława? „To trucizna. Fajnie było na igrzyskach w 2002 roku w Salt Lake City, bo tam nikt mnie nie znał i mogłem chodzić, gdzie chcę. Teraz mam jej serdecznie dość, żyło mi się znacznie lepiej, kiedy byłem nikim”, podkreślił.

Znów włożył kij w mrowisko, tłumacząc, skąd jego zdaniem wziął się w sporcie doping. „Wy go stworzyliście, kibice, dziennikarze. Sport pierwotnie był wolny od dopingu, dopiero gdy zaczęliście robić szum, skaził się nim. Bo teraz liczy się tylko zwycięstwo, jeśli jesteś piętnasty, nikt nawet na ciebie nie spojrzy. Niektórzy nie wytrzymują tej presji. Ja tak, bo jeżdżę dla przyjemności, nikt mnie do niczego nie zmusi”, wypalił Miller.

O dopingu mówił w podobnym tonie wielokrotnie, także przed Turynem, ale podejście mediów do niego trochę się po igrzyskach zmieniło. Całkowite bagatelizowanie olimpiady, a także kontrowersyjny wywiad dla programu *60 Minutes* w telewizji CBS, w którym bez skrępowania mówił o jeździe na nartach na kacu i imprezowaniu na „olimpijskim poziomie”, mocno popsuły wizerunek Millera w mainstreamowych mediach. Z sympatycznego dziwaka wychowanego w domku bez prądu przez rodzinę hipisów szybko stał się pijakiem i skandalistą.

Mniej więcej wtedy nasiliła się też toczona przez Millera wieloletnia wojna z Międzynarodową Federacją Narciarską (FIS), której zarzucał między innymi, że za mało płaci narciarzom. „FIS dostaje miliony od sponsorów i telewizji, a sportowcy otrzymują marne grosze – stwierdził po zawodach w Val Gardenie, gdzie tryumfator dostał dwadzieścia cztery tysiące dolarów (mniej niż odpadający w pierwszej rundzie turnieju tenisowego Wielkiego Szlema), a dziesiąty na mecie nieco ponad tysiąc

dolarów. – To są śmieszne sumy w porównaniu z naszym wysiłkiem, ryzykiem i zarobkami FIS. Wiem, że brzmi to trochę głupio, bo akurat ja… zarabiam najwięcej, ale tu nie chodzi o mnie, lecz o innych chłopaków". FIS wytykał też inne błędy, między innymi to, że w anachroniczny sposób pokazuje zawody – za mało wykorzystuje zdobycze nowoczesnej techniki, by uatrakcyjnić relacje. Wielokrotnie awanturował się też o różne drobiazgi – od przepisów dotyczących sposobu mocowania wiązań w nartach po organizację treningów i zabezpieczenie trasy. Raz, w Bormio, namówił innych narciarzy do strajku, przez co nie odbył się oficjalny trening. Wznowiono go dopiero wówczas, gdy FIS zadbał o lepsze warunki bezpieczeństwa.

2007–2008. Team America w kamperze

W sezonie 2006/07 Miller odniósł cztery zwycięstwa w Pucharze Świata, tryumfował między innymi w zjazdowym klasyku w Wengen, zajął czwarte miejsce w klasyfikacji generalnej i zgarnął małą Kryształową Kulę za supergiganta. Ale najważniejsze wydarzenie znów miało miejsce poza stokiem – Amerykanin późną wiosną 2007 roku poinformował własną federację narciarską, że ją opuszcza i będzie startował poza strukturą US Ski Team, zakładając własny, niezależny Team America.

Miller mógł sobie na to pozwolić, bo mimo zawirowań wokół niego narciarscy sponsorzy wciąż chcieli być przy największym buntowniku stoków. Budżet teamu wynosił ponad milion dolarów. Miller mógł trenować w dokładnie taki sam sposób jak wcześniej, stać go było na letnie wyjazdy na lodowce do Chile czy Nowej Zelandii, ale była jedna istotna różnica – nie musiał wykonywać niczyich poleceń. Podłożem decyzji o opuszczeniu kadry USA było bowiem to, że zaczął słyszeć uwagi na temat tego, jak się prowadzi. Zakazano mu picia alkoholu i noclegów w kamperze,

sugerowano, że jak każdy członek zespołu powinien spać w hotelu. Millerowi taka kontrola się nie spodobała.

Początki jego narciarskiej banicji nie były łatwe – przez jedenaście pierwszych startów w Pucharze Świata nie wdrapał się na podium. Podobno niektórzy sponsorzy utrzymujący Team America zaczynali się już niecierpliwić.

W Dolomitach w połowie grudnia 2007 roku nastąpił przełom. Miller na słynnym Saslongu w Val Gardenie zajął drugie miejsce w supergigancie. Wygrał Szwajcar Didier Cuche, reprezentant Team America stracił do niego ledwie dwie setne sekundy. Trzeci był Marco Buechel z Liechtensteinu, który też mieszkał wtedy w kamperze. Miller od razu dostrzegł prawidłowość. „Widzicie, do czego go to doprowadziło. Do podium! Dwóch gości z kamperów, to musi coś znaczyć. Jak masz kamper, masz więcej spokoju i lepiej jeździsz", opowiadał dziennikarzom.

Kilka dni później w Alta Badia Miller nie dojechał do mety, bo w połowie pierwszego przejazdu przy jednym ze skrętów… rozpadła mu się narta – wiązanie pojechało w prawo, narta w lewo, Miller został w środku. Widok był niesamowity, tym bardziej że Bode – w swoim stylu – próbował dojechać do mety na jednej narcie.

Później było już z górki. Projekt Team America zakończył się spektakularnym sukcesem – Miller wygrał w sezonie 2007/08 sześć zawodów Pucharu Świata, do tego dołożył kilkanaście miejsc w pierwszej trójce i zdobył swoją drugą Kryształową Kulę za zwycięstwo w klasyfikacji generalnej.

Konkurencje szybkościowe zdominował. W zasadzie przegrywał tylko wtedy, gdy sam popełniał błędy. W zjeździe w Kitzbühel wyprzedził go Cuche, bo Miller w połowie trasy wjechał w baner reklamowy. I tak miał wówczas drugi czas.

„Niezależność się opłaca. Nie umiem tego racjonalnie wytłumaczyć, ale tak właśnie jest w moim przypadku. Ja to wiedziałem od zawsze, ale widać

nie wszyscy zdawali sobie z tego sprawę”, mówił Miller. „Czy uciszyłeś swoich krytyków na dobre?”, spytano go na konferencji prasowej. „Krytycy? Gdzie oni są? Nie widziałem ich”, uśmiechnął się, rozglądając się po sali.

2007–2008. Ani grama alkoholu

Jedyną porażką Amerykanina w złotym sezonie 2007/08 było to, że nie udało mu się zdobyć małej Kryształowej Kuli w zjeździe. Minimalnie – o pięć punktów – wyprzedził go Cuche, który wygrywał rzadziej, ale startował częściej, nie opuszczał żadnych zawodów i w ten sposób nabił więcej punktów. Miller uważał jednak, że Szwajcar wygrał głównie dzięki spiskowi działaczy, bo ostatni w sezonie zjazd w Bormio odwołano z powodu zbyt obfitych opadów śniegu i słabej widoczności. „To skandal. Warunki nie były złe. Ale trudno się dziwić, że odwołali zjazd, skoro w komisji zasiada Szwajcar i Austriak. Ten pierwszy bał się, że wyprzedzę Didiera i wygram klasyfikację zjazdu, a ten drugi – że zwiększę przewagę nad Benjaminem Raichem w klasyfikacji generalnej”, złościł się Miller.

Ale po zakończeniu Pucharu Świata zły humor mu przeszedł. Z dziennikarzami o sezonie rozmawiał w pubie, wlewając w siebie tequilę. To były dla niego pierwsze łyki alkoholu od lipca 2007 roku. Miller na złość amerykańskim trenerom i działaczom przestał bowiem pić, gdy tylko opuścił kadrę USA obrażony za brak swobody. „Mój sukces nie polega na tym, że przestałem pić – tłumaczył potem, sącząc tequilę. – Zawsze byłem niezależny i tylko wtedy potrafiłem realizować wyznaczone cele. Teraz też tak było”.

Sprawa byłaby jednak zbyt prosta, gdyby za sukcesem Millera stał tylko luz i swoboda. Amerykanin wygrał, bo wziął się do roboty. Przestał seryjnie wypadać z trasy, przestał też balangować, zamiast tego ostro trenował. „Bode wygrał Puchar Świata, bo w tym sezonie zaczął realizować

wszystkie moje zalecenia z poprzednich dwóch lat. Poprawił się w konkurencjach technicznych. Przestał wypadać z trasy, zaczął zdobywać punkty w kombinacji. Gdybym wiedział, że zacznie to robić poza kadrą, już dawno bym go z niej wyrzucił. Wtedy Bode odbierałby dziś nie drugą, ale czwartą Kulę", żartował Phil McNichol, trener amerykańskiej kadry.

Słowa McNichola miały potwierdzenie w statystykach. Miller w swoim najlepszym sezonie uzbierał ponad czterysta punktów w kombinacji, która składa się ze zjazdu i slalomu. W poprzednich latach nie zdobywał w niej punktów, bo zawsze wypadał z trasy slalomów. Teraz poprawił skuteczność i dzięki temu zdobył Puchar Świata.

„Bode kreuje się na luzaka. W rzeczywistości to bardzo pracowity człowiek. Wychował się w rodzinie hipisów i stąd ten jego luz, bezkompromisowość. Lubił dobrą zabawę, potrafił na przykład przyjść na zawody po całonocnej balandze w dyskotece. Ale za jego sukcesami zawsze stała solidna praca na treningach. On po prostu wszystko robił na maksa, imprezował i pracował też", mówił Andrzej Bachleda junior, polski olimpijczyk z Nagano i Salt Lake City, który poznał Millera podczas kilku miesięcy treningów w ośrodku narciarskim w Denver.

„Zawsze najważniejsze były dla mnie narty, a niektórzy wmawiali mi, że tak nie jest", mówił Miller na specjalnie zorganizowanej dla przyjaciół imprezie na zakończenie sezonu – „The Bode Miller party". Następnego dnia rano rozdawano Kryształowe Kule. Agencja Associated Press napisała w swojej depeszy wprost, że Amerykanin zakończył trwającą ponad pół roku alkoholową abstynencję. Na rozdaniu nagród mówił niewiele i nie był w najlepszej formie.

2008–2009. Po sukcesie jazda w dół

To już tradycja, że po roku świetnym w karierze Millera przychodzi sezon słaby. Tak było w 2006 roku po pierwszej Kryształowej Kuli i w 2009 roku

po drugiej. W sezonie 2008/09 Amerykanin po raz pierwszy od ośmiu lat nie wygrał ani jednych zawodów, na podium wspiął się ledwie trzy razy.

Jednym z niewielu jasnych punktów było drugie miejsce w Levi, gdzie Miller po raz pierwszy od tysiąc czterystu trzydziestu trzech dni stanął na podium w najbardziej technicznej konkurencji – poprzedni slalom wygrał w sezonie 2004/05 w Sestriere.

W najważniejszej imprezie sezonu – na mistrzostwach świata w Val d'Isère – Miller przegrywał i narzekał. Organizatorom zarzucił, że źle przygotowali trasy i przesadzili z poziomem trudności. Aż trzydzieści dziewięć osób nie dojechało do mety supergigantów, pierwszych konkurencji mistrzostw świata. Na treningu zjazdu Jessica Lindell-Vikarby ze Szwecji zerwała więzadła w kolanie i nie wystartowała do końca sezonu. Do szpitala z obrażeniami twarzy po wywrotce trafiła też ówczesna wiceliderka Pucharu Świata Maria Riesch. Niemka upadła przy prędkości stu kilometrów na godzinę. „Organizatorzy przesadzili. Trasy są tak wymagające, że zmuszają do zachowawczej jazdy – grzmiał Miller, który zazwyczaj stawiał na maksimum ryzyka, ale w supergigancie zajął dwunaste miejsce. Stracił ponad dwie sekundy do zwycięzcy Didiera Cuchego. – Nie chcę odbierać zasług Didierowi, ale po mistrzostwach świata oczekiwałbym trasy, na której trzeba walczyć do ostatnich metrów i atakować, a nie powstrzymywać się przed wywrotką". „Śmieszą mnie jego komentarze. Na tym stoku potrzeba techniki, siły fizycznej i inteligencji, a nie tylko brawury", skwitował rodak Cuchego, Didier Defago.

Smutna prawda była taka, że Miller stracił wielką formę. Cały sezon był dla niego pasmem klęsk. Nie dojeżdżał do mety albo zajmował odległe lokaty nawet w zjazdach i supergigantach. Po raz pierwszy zaczęła dokuczać mu kontuzja kolana, która będzie od tego momentu nieodłącznym towarzyszem jego kariery. Końcówkę sezonu Miller zupełnie odpuścił, twierdząc, że ma dość i musi podleczyć chore kolano, ale po zakończeniu

Pucharu Świata napisał na blogu, że czuje się zupełnie wypalony i przebąkiwał, że rozważa zakończenie kariery. „W tej chwili Puchar Świata nie sprawia mi przyjemności”, zakomunikował. Niedługo potem wyjawił dziennikarzom, że ma roczną córkę Dacey i chce spędzić z nią więcej czasu w San Diego. Nie był związany z matką dziewczynki, długo nie wiedział nawet, że został ojcem, ale gdy już się dowiedział, doszedł z byłą partnerką do porozumienia, jak dzielić się opieką nad dzieckiem.

2009–2010. Pojednanie z olimpiadą

Gdyby na początku sezonu 2009/10 ktoś postawił u bukmachera pieniądze na to, że Miller zdobędzie złoty medal na igrzyskach olimpijskich w Vancouver, uznano by go za człowieka niespełna rozumu. A jednak warto było podjąć ten szalony zakład.

We wrześniu, pięć miesięcy przed igrzyskami, Miller był w lesie. Dosłownie. Siedział na leżaku w San Diego i popijał zimne piwko, hodując lekki brzuszek przy chrupkach i innych atrakcjach z lokalnego Liquor Store. Austriacy ćwiczyli wtedy na lodowcu w Chile, Szwajcarzy robili próby w tunelu aerodynamicznym. Miller nie ćwiczył nawet pompek, do nart zbliżał się co najwyżej w sklepie.

Wrócił do nich dosłownie w ostatniej chwili. Do kontynuowania kariery namówili go latem przyjaciele i trenerzy, a szczególnie Sasha Rearick, ówczesny głównodowodzący US Ski Team. Bode wrócił, bo amerykańska federacja wreszcie pozwoliła mu mieszkać w kamperze i pić piwo. „Jak już pozwolili, to mogę mieszkać w hotelu i nic nie pić. Chodziło o zakaz, a nie o przyczepę”, skwitował porozumienie Miller.

Jego sakramentalne „tak” dla igrzysk kibice usłyszeli podczas transmitowanej w USA na żywo konferencji prasowej, zorganizowanej z wielką pompą przez NBC i sponsorów. Miller stracił kilka początkowych zawodów Pucharu Świata, bo musiał nadrobić zaległości treningowe,

pierwsze próbne jazdy na stoku miał dopiero na początku października. Jeden z amerykańskich dziennikarzy napisał, że Miller był w stanie na początku wytrzymać na pełnych obciążeniach zaledwie trzydzieści sekund, potem słabł. Żeby przejechać zjazd w Bormio czy Wengen, trzeba blisko trzech minut. „Bode będzie groźny zawsze i wszędzie, kiedy tylko włoży narty na nogi, do igrzysk zdąży dojść do formy”, uspokajał trener Rearick.

Forma przyszła w styczniu. W połowie miesiąca Miller wygrał superkombinację w Wengen, odnosząc pierwsze zwycięstwo w Pucharze Świata od blisko dwóch lat. Nikt nie spodziewał się jednak, że po tak krótkich przygotowaniach Amerykanina będzie stać na olimpijskie medale.

Spełniło się jednak to, o czym Miller mówił podczas igrzysk w Turynie. Gdy nikt w niego nie wierzył, nikt się nim specjalnie nie interesował, on – mając wreszcie święty spokój – pojechał na olimpiadzie fenomenalnie.

Zaczął od brązowego medalu w zjeździe, potem wywalczył srebro w supergigancie, a na koniec pierwsze w karierze złoto, nokautując rywali w superkombinacji.

Zwycięstwo zapewnił sobie w slalomie, bo po zjeździe zajmował dopiero siódmą lokatę. Uznano to za ogromną niespodziankę, bo jednak w slalomach Miller w ostatnich latach nie błyszczał. „Czekałem na idealny przejazd i wreszcie się doczekałem. Nigdy nie chciałem wygrać przypadkiem, bo tak się ułożyło na trasie. Chciałem wygrać po takim właśnie nokautującym przejeździe”, mówił Bode do lasu mikrofonów pod stokiem Blackcomb Mountain.

Po ceremonii medalowej pytano go o Turyn, czemu nie wyszło cztery lata temu. „Igrzyska są dla mnie jak moneta. Z jednej strony są atrakcyjne sportowo, przyjeżdża cała czołówka, jest rywalizacja, są medale, ale z drugiej strony czujesz, że to jest cyrk, straszna hipokryzja, z całą tą telewizją, fałszem. Jeden wyścig ma nagle o czymś rozstrzygać? Wtedy nie czułem motywacji, źle mi było w Turynie. Teraz mi się chciało, miałem wewnętrzną energię, luz. Nie czułem potrzeby zdobywania medali za

wszelką cenę. Wróciłem do korzeni, czyli do tego, by jazda na nartach sprawiała mi przyjemność. Sam złoty medal nie ma dla mnie znaczenia, ważny jest sposób, w jaki się go zdobyło”, mówił Miller. Dodał, że gdyby zależało mu na medalach, to odwiedziłby najgroźniejszych rywali i połamał im nogi, obierając strategię szalonej łyżwiarki Tonyi Harding.

Niektórzy mówili, że Miller zakładał maskę, a tak naprawdę to wreszcie wydoroślał. Zmieniła go córka, którą kochał nad życie. Ted Ligety opowiadał w Vancouver, że w przerwach między treningami Bode próbował nauczyć Dacey siusiać do nocnika. Priorytety w życiu nieco mu się poprzestawiały

2010–2013. Mała stabilizacja

Po igrzyskach w Vancouver w ojczyźnie znów był gwiazdą, lgnęli do niego sponsorzy, zapraszały telewizje, kolorowe magazyny prześcigały się w pomysłach na wywiady i reportaże. Tym jednym złotem olimpijskim Miller zyskał więcej w oczach rodaków niż przez dziesięć poprzednich lat, kiedy wygrał trzydzieści dwa razy w Pucharze Świata, stając się najbardziej utytułowanym amerykańskim narciarzem. Złoto odmieniło spojrzenie Ameryki na Millera, ale zmieniło też jego samego. Po Vancouver nieco spokorniał, przestał wojować ze wszystkimi.

W ramach poolimpijskiego rozluźnienia Miller, niegdyś amatorski mistrz stanu New Hampshire w tenisie, zgłosił się do stanowych eliminacji do wielkoszlemowego US Open. Jego próba nagłej zmiany dyscypliny odbiła się szerokim echem w mediach, ale na korcie skończyła się szybko – Miller przegrał w pierwszej rundzie kwalifikacji. I wrócił na stok.

A tam zapanowała mała stabilizacja. Trzydziestotrzyletni Amerykanin, który zdobył już w narciarstwie wszystko, co było do zdobycia, nieco zwolnił tempo swoich szalonych przygód. Końcówkę sezonu olimpijskiego w Pucharze Świata odpuścił całkowicie, w kolejnej edycji (2010/11) –

jeżdżąc na kompletnym luzie i bez presji – nie odniósł zwycięstwa, ale zdołał kilka razy wspiąć się na podium. Zajął drugie miejsce w zjeździe na arcytrudnej trasie Streif w Kitzbühel. W sezonie 2011/12 też jeździł przeciętnie, nie zmieścił się w czołowej dziesiątce klasyfikacji generalnej, ale w Beaver Creek wygrał trzydzieste trzecie zawody Pucharu Świata w karierze. Więcej zwycięstw odniosło tylko sześciu alpejczyków: Ingemar Stenmark (83), Hermann Maier (54), Alberto Tomba (50), Marc Girardelli (46), Pirmin Zurbriggen (40) i Benjamin Raich (36).

„Jeszcze nigdy tak nie ryzykowałem. W zamian dostałem sto procent satysfakcji – uśmiechał się Bode po tryumfie na stoku Birds of Prey. Blisko trzykilometrową trasę, pełną technicznych pułapek, pokonał tak brawurowo, że na mecie słychać było jedno głośne »Wooooow!«. Kilka razy od upadku dzieliły go milimetry, katastrofa wydawała się nieuchronna. – Kiedy stoisz w bramce startowej i patrzysz w dół, świadomy, że za chwilę pojedziesz maksymalnie ryzykując, jesteś przerażony. Ten stan mija dopiero na mecie. Jeśli się uda, zastępuje go przyjemność z dobrze wykonanej roboty”.

Amerykanin osiągnął status legendy narciarstwa, ale tracił powoli motywację – przyznawał to zresztą w wywiadach, znów zaczął przebąkiwać o końcu kariery, tym bardziej że kolano nie dawało mu spokoju.

To właśnie w tych wyluzowanych sezonach Miller znów zaczął ostro imprezować w Europie, czyli gdy był z dala od córki, pracując na reputację największego alpejskiego balangowicza, przy którym bledną nawet wyczyny Alberto Tomby. Kiedy po igrzyskach w Vancouver odwiedził Polskę, gdzie miał wziąć udział w zawodach pokazowych w Zakopanem, nie był w stanie wstać z łóżka do godziny czternastej, tak mocno imprezował w nocy. Na zaplanowane na kilka godzin wcześniej spotkanie z młodymi narciarzami w ogóle nie dotarł. Nie odbierał telefonów od organizatorów. „W naszym sporcie nie trzeba być ascetą, to jedna z jego

największych zalet”, żartował Bode, który był stałym bywalcem nocnych klubów we wszystkich najważniejszych alpejskich kurortach.

2013–2014. Żona, dziecko, Soczi

Motywacja do ostatniego narciarskiego zrywu wróciła, gdy się zakochał, po raz pierwszy tak całkiem na serio. Oczywiście historia poznania przyszłej kobiety życia przez Bodego Millera nie mogła być zupełnie zwyczajna.

Zaczęło się od kolejnej kontuzji kolana. W lutym 2012 roku podczas próby przedolimpijskiej w Soczi coś chrupnęło w nodze Amerykanina i Miller musiał poddać się artroskopii. Podczas rehabilitacji miał sporo wolnego czasu, załatwiał zaległe sprawy, między innymi czekające na podpis umowy sponsorskie u swojego agenta Lowella Tauba. U niego w gabinecie zobaczył na ścianie zdjęcie długonogiej blondynki, innej klientki. „Co to za piękność?”, spytał. Dziewczyna z plakatu nazywała się Morgan Beck i była młodszą od Millera o dziesięć lat amerykańską siatkarką plażową i modelką. Kilka dni później Bode już rozmawiał z nią przez telefon i umawiał się, że wpadnie na zawody na Florydzie „pooglądać siatkówkę”. Ponoć trzy razy dostał kosza, ale w końcu Morgan dała się zaprosić na kolację.

Potem poszło już szybko, siódmego października 2012 roku wzięli ślub. Oczywiście nie był to zwykły amerykański ślub, ale wesele w stylu Bodego Millera. Ceremonia odbyła się w jego domu na łodzi nad zatoką San Diego. W charakterze świadków wystąpili: urzędnik stanu cywilnego, fotograf i kot. „Bode wychodzi z założenia, że jeśli jakaś decyzja jest słuszna, to nie ma sensu czekać”, śmiała się Morgan.

Kto wie, być może Miller był jej od początku przeznaczony. O swoim przyszłym mężu pierwszy raz usłyszała bowiem już dziesięć lat wcześniej. Razem z rodzicami była w Salt Lake City przed igrzyskami w 2002 roku. Pewnego dnia w pokoju obok była głośna impreza. Rodzice poszli uciszyć towarzystwo. „To ten wariat Bode Miller”, westchnęli, gdy wrócili.

Podczas straconego na leczenie kolana sezonu 2012/13 w życiu Millera pojawiły się jeszcze dwie nowości. Pierwszą był dwuletni ogier Carving, bo wyścigi konne stały się nową pasją narciarza, który wszedł w spółkę z żoną legendarnego trenera Boba Bafferta. A drugą – kolejne dziecko. Millerowi – w czasie, gdy spotykał się już z Morgan – urodził się syn z poprzedniego, przelotnego związku z Sarą McKenną. O prawo do częściowej opieki nad dzieckiem musiał stoczyć walkę w sądzie, ale wygrał ją, dzięki czemu zaczął jeździć na niektóre zawody Pucharu Świata z całą rodziną – Morgan, Dacey i Samuelem.

Jako tatuś, mąż i człowiek, którego po kilkunastu miesiącach odpoczynku od nart przestało wreszcie boleć kolano, trzydziestoszścioletni Miller mógł wreszcie zmierzyć się z prawdopodobnie ostatnim sportowym wyzwaniem w karierze – igrzyskami w Soczi.

W sezon olimpijski Bode wjechał kompletnie odmieniony – schudł o szesnaście kilogramów (!), po raz pierwszy w karierze jego twarz stała się kanciasta, wyrazista, przestała przypominać księżyc w pełni.

„Znalazłem w życiu harmonię”, mówił Amerykanin, który znów przestał balować. Zamiast tego zaczął prowadzić kilka charytatywnych fundacji dla dzieci i wspierać paraolimpijczyków, ale znalazł też czas, by prezydenta Władimira Putina, prześladującego w Rosji homoseksualistów, nazwać „nietolerancyjnym ignorantem”.

Niższa waga spowodowała obawy, że Miller straci w Soczi na prędkości w swoich koronnych konkurencjach, czyli zjazdach i supergigantach. Pierwsze starty w Pucharze Świata mogły potwierdzać te obawy, bo Amerykanin z trudem łapał się do czołowej dziesiątki. „Spokojnie, w Soczi jest trudna trasa, dużo zakrętów, prędkość to tylko część układanki”, odpowiadał Miller, który chciał na swoich piątych igrzyskach zdobyć medal i znów zagrać na nosie wszystkim tym, którzy przestali w niego wierzyć, bo jest „za stary”, „wypalony” czy „zbyt szalony”.

Czy mu się uda? I co będzie potem? Sam jestem ciekaw, bo życie Bodego Millera zawsze pędziło w zawrotnym tempie i nigdy nie było wiadomo, co czeka za kolejnym zakrętem.

Jakub Ciastoń
„Gazeta Wyborcza”

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Bądź na bieżąco, śledź nas na:
/WydawnictwoSQN
/SQNPublishing
www.wsqn.pl

Nasza księgarnia internetowa:
www.labotiga.pl

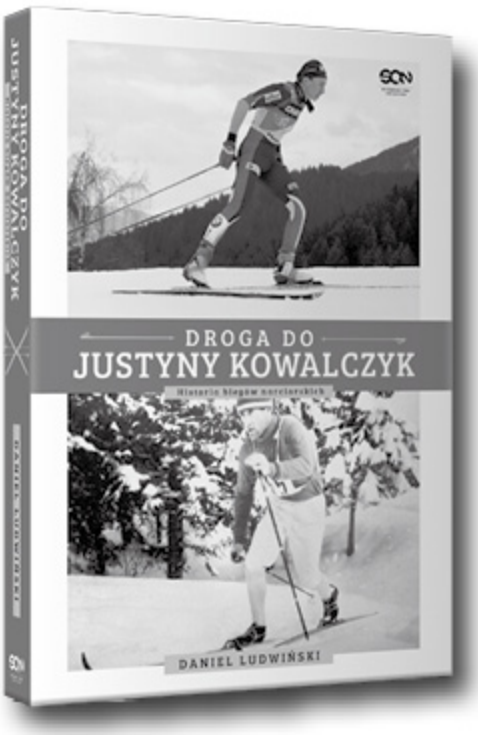
DROGA DO
JUSTYNY KOWALCZYK
Historia biegów narciarskich
DANIEL LUDWIŃSKI

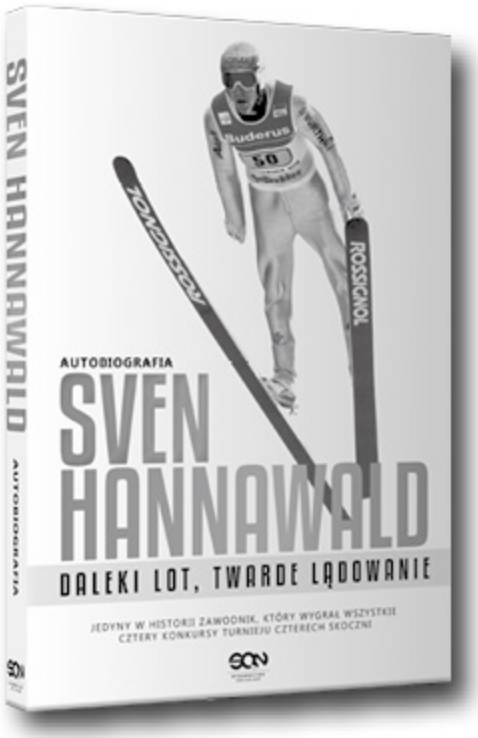
SVEN HANNAWALD
AUTOBIOGRAFIA
ROSSIGNOL
AUTOBIOGRAFIA
SVEN
HANNAWALD
DALEKI LOT, TWARDE LĄDOWANIE
JEDYNY W HISTORII ZAWODNIK, KTÓRY WYGRAŁ WSZYSTKIE
CZTERY KONKURSY TURNIEJU CZTERECH SKOCZNI

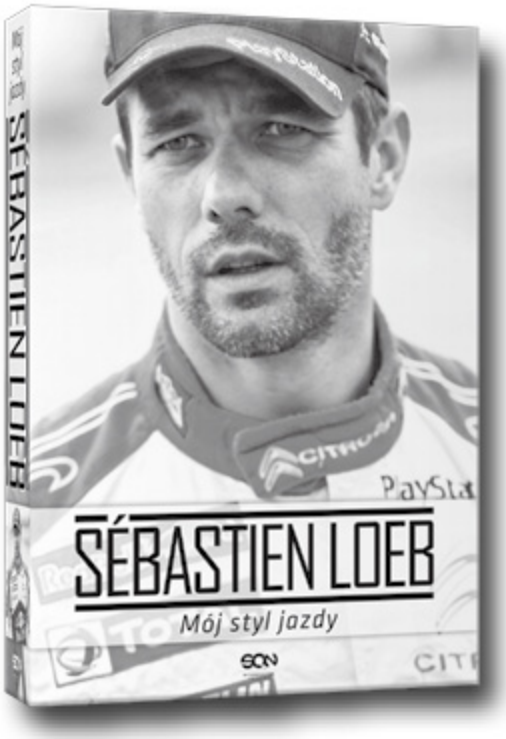
SÉBASTIEN LOEB
Mój styl jazdy

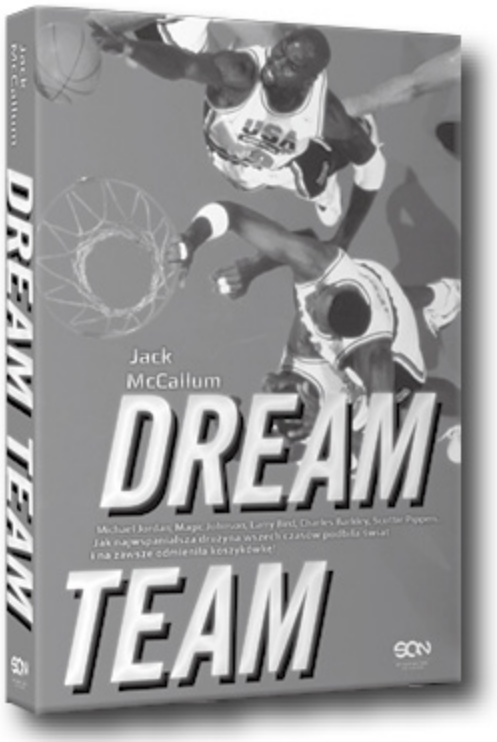
Jack McCallum
DREAM TEAM

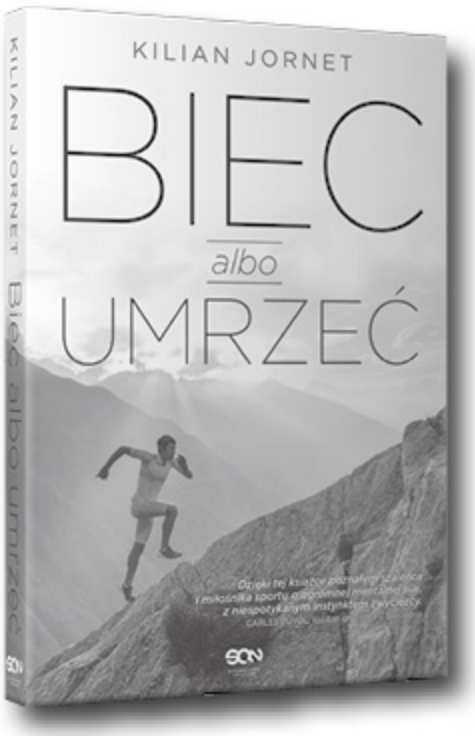
KILIAN JORNET
BIEC
albo
UMRZEĆ

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Dodatek